

Nie wierzę w przypadki

2 marca 2013



O tym, że ciekawość świata to niezwykle ważna cecha, a także o dziwnych, nieprawdopodobnych przypadkach, zjawiskach uznawanych za paranormalne, obręczce sprawiającej ból, przeczuciu śmierci oraz obecności duchów z Wiktorem Żwikiewiczem – jednym z najbardziej znanych i cenionych polskich pisarzy science-fiction lat 1970. i 1980. rozmawia Marek Żelkowski.

MAREK ŻELKOWSKI: Na powitanie zagadnął mnie Pan, co ciekawego zdarzyło się dzisiaj w moim życiu. Wiem, że bardzo często zadaje Pan to pytanie swoim gościom. Wiem również, że ma to swój ukryty cel.

WIKTOR ŻWIKIEWICZ: Oczywiście! Udzielona odpowiedź pozwala mi rozpoznać, z jakim typem człowieka mam do czynienia.

– Na jakiej zasadzie opiera Pan swoją diagnozę?

– Na bardzo prostej! Ale najlepiej wyjaśnić to używając przykładu. Wiele lat temu podczas porannego spaceru ze swoim synem, zapytałem go, co ciekawego wydarzyło się poprzedniego dnia. Odpowiedź była taka, jakiej się spodziewałem i jaką znają wszyscy rodzice – NIC! Bo, co niezwykłego zdarza się zwykłym ludziom? Pamiętam, był początek pięknego wiosennego

dnia. Jedni ludzie wychodzili z kościoła, inni z supermarketu... Ulicą obok przemykały sznury samochodów, a na pobliskiej stacji benzynowej wszystkie dystrybutory paliwa „obstawione” były przez klientów. W zasięgu mojego wzroku było minimum dwieście osób. „Popatrz – powiedziałem do syna – wszyscy ci ludzie idą przed siebie i żaden nie dostrzega niczego niezwykłego w swoim otoczeniu... Ty również niczego nie widzisz, prawda?” Rozejrzał się, jak mu się wydawało, uważnie i potwierdził. „W takim razie spójrz” – oświadczyłem wskazując na pobliski trawnik. Syn zerknął i usłyszałem podekscytowane: „Tata, co to jest?” Całkiem blisko nas przechadzały się trzy czarne kruki. Olbrzymie ptaszyska. Prawdopodobieństwo, że w polskim mieście spotka się przedstawicieli tego rzadkiego gatunku jest naprawdę minimalne. Wrony to miejska codzienność, ale kruki...? Jednak były przed nami i to aż trzy... Czyż nie byliśmy świadkami rzeczy niezwykłej? Owszem! A czemu niemal nikt owej niezwykłości nie dostrzegał? Bo nikt jej nie szukał! Nikt nie oczekiwał niezwykłości. A ja... Powiem nieskromnie, że przez całe życie szukam rzeczy dziwnych, niecodziennych, frapujących. Dlaczego ta opowieść? Otóż bardzo często wydaje nam się, że zjawiska określane przymiotnikiem „paranormalne” są od nas odległe, że dzieją się „gdzieś tam...” Człowiek ma skłonność to takiego oto opisu świata: wokół jest siermiężna normalka, potem długo, bardzo długo nic i „za siedmioma górami, za siedmioma lasami” leży kraina zjawisk niezwykłych, burzących porządek świata. Nic bardziej mylnego! Niezwykłość, paranormalność jest bardzo blisko nas, ale ponieważ nie szukamy jej w swoim otoczeniu... więc jej nie widzimy. Przesłania ją szarość oraz codzienność. Nie umiemy patrzeć i pewnie dlatego jest aż tylu sceptyków. Może powiem coś, co wiele osób oburzy, ale moim zdaniem sceptyk, to człowiek, który ma kłopoty z uruchomieniem swojej wyobraźni. Za wszelką cenę próbuje on racjonalizować obraz świata, ale zupełnie nie dostrzega, że w ten sposób ów obraz staje się karykaturą. Spłaszczoną, ubogą wersją rzeczywistości, w której wszystko jest jasne, oczywiste i logiczne. Tak na marginesie... Uważam sceptycyzm za bardzo ważną ludzką cechą, ale jest ona naprawdę

cenna, tylko wówczas kiedy człowiek jest otwarty na świat i potrafi dostrzegać rzeczy niezwykłe. Sceptyk zamknięty na oczywistą oczywistość, że otaczający go świat bywa dziwny, to umysł zasklepiozny i zjawisko... dosyć żałosne.

– Właśnie naraził się Pan dużej ilości „racjonalnych, trzeźwo myślących Polaków”, dla których pojęcia takie jak na przykład: magia, homeopatia czy spirytyzm są synonimami zacofania oraz prymitywnego postrzegania świata.

– Pewnie tak! Pójdę więc za ciosem. (śmiejch) Uważam, że proces racjonalizowania, drobiazgowego wyjaśniania oraz wszelkie próby opisywania świata jako swoistego mechanizmu, to, na ogół, zubożanie naszej umysłowości. Bardzo często ta część naszego umysłu, która odpowiada za myślenie magiczne i mistyczne dostarcza nam więcej informacji o świecie niż ta, która zawiaduje chłodną racjonalną analizą. Cywilizację pchały do przodu przeważnie jednostki obdarzone wyobraźnią – pewnym rodzajem boskiego szaleństwa, a nie chłodni analitycy prześwietlający rzeczywistość i dzielący włos na czworo. Wyobraźnia jest podstawą rozwoju. Kiedy patrzę na model współczesnej edukacji, w którym młodzi ludzie są bombardowani nieistotnymi i często przeraźliwie nudnymi faktami, to chce mi się płakać. Zamiast atakować młodych ludzi milionami informacji, należy rozbudzać w nich ciekawość. Tylko taki poruszony intelektualnie człowiek może zacząć zadawać „niewygodne” pytania. Ale myślę, że właśnie tego boją się wszelkie elity. Zarówno te polityczne, naukowe, jak i intelektualne. Człowiek, który nauczony jest poszukiwania, którego ciekawi świat... Taki człowiek nie poddaje się manipulacji. Nie można narzucić mu poglądów, ani kazać oddawać czci różnym guru. On sam znajduje sobie autorytety! Dla niektórych naukowców, przywódców duchowych i politycznych taka opcja jest niedopuszczalna. To dlatego współczesnym młodym ludziom „zamyka się” w szkołach umysły, zamiast je „otwierać”. Przecież lepiej żeby nastolatek przyjął do wiadomości, że teoria ewolucji jest prawdą absolutną i nie miał co do tego

żadnych wątpliwości.

– Czy to nie dziwne, że niemal nikt już nie pyta, dlaczego przemyślenia Darwina i jego następców nazywane są światopoglądem naukowym, chociaż, tak naprawdę, to w dalszym ciągu tylko teoria ewolucji?

– Teoria, a nie reguła lub prawo. Przez analogię – nie mówimy o teorii Ohma tylko o jego prawie. Więc skoro ewolucja, to tylko jedna z możliwych teorii, należałoby zadawać jak najwięcej niewygodnych pytań pod adresem głoszących ją profesorów. Dla dobra nauki! Aby ostatecznie potwierdzić lub obalić teorię Darwina. Takich dziedzin życia, w których należy pytać i uruchamiać wyobraźnię, jest naprawdę bardzo wiele. Marzę o tym, aby napuszeni naukowcy zaczęli brać wreszcie pod uwagę, że nie wiedzą jeszcze wszystkiego. Tymczasem dzisiaj wielu z nich zachowuje się tak, jakby posiadało już całą boską wiedzę i z przekonaniem mówią, że coś jest możliwe, a coś możliwe nie jest. Współczesną naukę cechuje ogromna pycha, brak pokory i wiara w aktualnie obowiązujący paradygmat. Duży, ogromny błąd. Obawiam się, że jako gatunek wiemy o naszej rzeczywistości niewiele i więcej jest jeszcze do odkrycia, niż zostało odkryte. Wiem jednak, że większość współczesnych naukowców nie jest w stanie pogodzić się z tym faktem. Chyba brak im pokory i... wyobraźni! A poza tym... Minęło sporo lat od czasu, kiedy mnie w szkole musztrowano tak zwanym światopoglądem naukowym. Co z tego zostało? Okazuje się, że trochę matematyki, trochę mechaniki... Ale prawie cała historia, biologia, astronomia z tamtych czasów, to wiedza nic nie warta. Czy to znaczy, że całe życie uczyłem się NIEPRAWDY? Nie! To był tylko AKTUALNY stan wiedzy. A z prawd zawsze aktualnych... Nie zabijaj... Nie kradnij... Nie cudzołóż... Kochaj bliźniego... Tyle mi zostało z wyszydzanych dzisiaj lekcji religii.

– Powtarza Pan bardzo często, że jeśli człowiek jest ciekawy świata, to ludzie, których spotyka są przeważnie niezwykli...

– Tak! Występuje coś w rodzaju przyciągania. Nie wiem na jakiej zasadzie to działa, ale moim zdaniem fakt pozostaje faktem. To samo dotyczy również zdarzeń. Jeżeli człowiek nie zada intrygującego pytania, to nie otrzyma intrygującej odpowiedzi. Moje życie polegało i polega na zadawaniu takich właśnie pytań. To dlatego pisałem książki fantastyczno-naukowe. A jeśli już tego rodzaju pytanie padnie, to wcześniej, czy później pojawi się ktoś, kto będzie chciał udzielić na nie odpowiedzi. I wzbogaci w ten sposób moją, ale często również swoją wiedzę. Rozwiązywanie problemów myślowych jest bowiem rodzajem wyprawy naukowej. Człowiek podąża za pytaniem i dokonuje odkryć, których czasami zupełnie się nie spodziewa. Bardzo często tych samych ciekawych ludzi, którzy otwierali mi oczy na świat, spotykali również moi przyjaciele. Ale oni nie potrafili dostrzec ich niezwykłości. Nie potrafili im zadać właściwych pytań.

– Ja natomiast zapytam wprost i bez owijania w bawełnę: Jak to jest z tymi zjawiskami paranormalnymi?

– Mam spory problem z definicją zjawisk paranormalnych. Wiele fenomenów określanych tym mianem uważam bowiem za zupełnie normalne i stosowanie przedrostka uważam za nieporozumienie. Przykład? Proszę bardzo. Czy telepatia jest rzeczą normalną, czy też może paranormalną? Moim zdaniem właściwa jest odpowiedź pierwsza. Mógłbym opowiadać godzinami i podawać dziesiątki przykładów ze swojego życia, kiedy to telepatia okazywała się czymś, co towarzyszy mi na co dzień. Ograniczę się jednak do jednego, za to dosyć drastycznego wydarzenia. Pewnego razu, jako młody człowiek zaręczyłem się z piękną dziewczyną. Ślub miał się odbyć w miarę szybko. Byłem śmiertelnie zakochany. Ona zresztą również. Mieliśmy pojechać w cudowną podróż przedślubną nad Adriatyk. To był jednak czas mojej wzmożonej aktywności twórczej. Pisałem akurat powieść i byłem ciężko zapracowany. Zaproponowałem zatem, aby moja narzeczona wyjechała z przyjaciółką. Ostatecznie pięknych podróży mogliśmy odbyć jeszcze wiele, a książka musiała być

gotowa na czas. Dziewczyny pojechały, a ja siedziałem przy biurku i z zapalonym w klawisze maszyny do pisania. Pewnego dnia mój szalony twórczy został przerwany przez niespodziewany ból palca! Obrączka zaręczynowa dosłownie paliła mi skórę. Zdjąłem ją zatem pośpiesznie i już wiedziałem, że nigdy więcej jej nie założę. Nie miałem jeszcze wówczas pojęcia, o co chodzi, chociaż czytelnicy domyślają się już zapewne... Ustaliłem bardzo dokładnie, że wówczas, kiedy poczułem ból, „miłość mojego życia” znalazła kogoś, kto, mam nadzieję, godnie mnie zastąpił. Można powiedzieć: totalna bzdura! A ja wiem, bo wypytałem szczegółowo narzeczoną oraz jej koleżankę i czas zgadzał się idealnie! Całe zajście można oczywiście skwitować słowem: przypadek. A ja pytam: jakież to przypadek? I nasuwa mi się jedna logiczna odpowiedź: absolutnie nieprawdopodobny!

– Czyli telepatia to zjawisko, które według Pana jest czymś zupełnie naturalnym oraz normalnym?

– Tak jak pies, który ma dobrego pana, zazwyczaj wie, że ów pan umiera, choćby nawet był daleko, tak człowiek bardzo często czuje, iż ktoś bliski, z kim łączyły go więzy emocjonalne, właśnie odchodzi. Spotkałem już sceptyków, którzy za wszelką cenę starali się wytłumaczyć to zjawisko feromonami albo innymi procesami biochemicznymi lub elektromagnetycznymi... Przyznam, że stopień pokrętności tych wywodów był tak wysoki, że wolę swoje prywatne wytłumaczenie, które zakłada iż jest to swoista, często chwilowa nadwrażliwość lub nadczynność zmysłów, w które każdy człowiek jest wyposażony. Sądzę, że w momencie tak ekstremalnym, jak śmierć, każdy z nas jest w stanie wyrzucić z siebie informację i niejako „rozesłać” ją po świecie, choćby nawet nigdy wcześniej nie wykazywał zdolności telepatycznych.

– Wielu pana znajomych twierdzi, że jest Pan swoistym „jądrem krystalizacji”, które jakby przyciąga niezwykle przypadki oraz zbiegi okoliczności.

– Rzeczywiście tak mówią. A czy tak jest...? To że nóż w mojej kuchni spada na podłogę wyłożoną kafelkami, staje na sztorc i trwa tak przez dwadzieścia, czy trzydzieści sekund... Takie zjawiska przestały mnie już dziwić. Przestały, chociaż doskonale wiem, że z punktu widzenia codziennej logiki i reguł rządzących rzeczywistością, nie powinny mieć miejsca. Ale co mam zrobić, jeśli akurat mają? Powinienem nie przyjmować tego do wiadomości? Powinienem spędzić resztę życia próbując dociec, jak to się stało? Nie! Dlatego nie, że wokół mnie niemal bez przerwy dzieją się rzeczy dziwne. Niezwykłe zbiegi okoliczności są moją codziennością. Mówiąc obrazowo, jako pisarz muszę uważać. Gdybym chciał w literaturze wzorować się wyłącznie na własnych doświadczeniach, to czytelnicy odkładaliby moje książki z komentarzem: „Takie rzeczy nie mogą się wydarzać”. Usłyszałbym również, że niemożliwe są takie sploty przypadków! Tymczasem ja opisywałbym wyłącznie swoje życie. Widocznie jestem dziedzicznie obciążony, bo w mojej rodzinie również nie brakowało niezwykłych wydarzeń. Do dzisiaj pamiętam opowieść babci o narodzinach mojego ojca chrzestnego – brata mojego ojca. Urodził się na Ukrainie podczas rewolucji. Auł kozacki, w którym mieszkała jego rodzina, otoczyły w nocy pododdziały wojsk Siemiona Budionnego. Rankiem wkroczyły do wioski i zaczęły rozstrzeliwać wszystkich mężczyzn oraz wyrośniętych chłopaków. Kobiety zostały natomiast zagnane do pociągu, a następnie wywiezione. Kiedy trwały rozstrzeliwania moja babcia urodziła zdrowego chłopca. Był 6 czerwca. Piękny słoneczny dzień. Wokół grzmiały salwy plutonu egzekucyjnego. Nagle niewiadomo skąd na niebie pojawiła się ogromna, czarna chmura. Zaczął wiać silny wiatr, a potem sypnął grad i śnieg! Powiedzmy jednak, że takie zjawisko, chociaż dziwne, mieści się w kategorii anomalii pogodowych. Minęło kilkadziesiąt lat. Mój stryj zmarł dokładnie 6 czerwca. Dwa dni później odbył się pogrzeb. Pamiętam, że panował straszliwy upał. Część żałobników ubrana była w przewiewne stroje, czego wkrótce pożałowali. Kiedy trumna została opuszczona w głąb ziemi, zaczął wiać zimny wiatr, a nad Bydgoszczą pojawiła się olbrzymia, czarna chmura.

Znowu sypnęło gradem i śniegiem. Już po chwili wokół zrobiło się biało! Cóż... Pewnie każdy racjonalista oczekiwałby, iż powiem, że to przypadek. Tylko niech ten racjonalista wyliczy mi najpierw prawdopodobieństwo takiego przypadku. A potem jeszcze dołoży obliczenia z analizy następnego... Kiedyś siedziałem przez całą noc przy komputerze. Pisałem jakieś kolejne opowiadanie. Nad ranem zachciało mi się bardzo pić. Ale każdy, kto kiedykolwiek zajmował się tworzeniem, wie że pisarz nie może tak po prostu przerwać. Trzeba zakończyć pewne myśli, wątki... Inaczej przepadną na zawsze. Nie ma mowy, aby wstać od komputera! A tu pić się chce! Oderwać się nie można! Papieros! Drugi papieros. Pragnienie coraz większe... Ale muszę skończyć. I nagle „pstryk” – w kuchni włączył się czajnik bezprzewodowy! Jak to wytłumaczyć racjonalnie? Oczywiście zawsze można rzucić jakimś „błotem” i powiedzieć, że pisarz zmyślił całą historię, ale ja wiem swoje. Wracając do niezwykłych zbiegów okoliczności. Był taki czas, że rzadko wychodziłem z domu. Dwa może trzy razy na miesiąc. Nie miałem jeszcze Internetu, a telewizję bojkotuję już od dawna... Mało wiedziałem o tym, co się dzieje na świecie, w kraju i w Bydgoszczy. Odwiedził mnie przyjaciel i zaczął mi opowiadać o ojcu Pio. Pisał akurat artykuł o zakonniku, czy też zbierał informacje do książki, którą pisał... Nie pamiętam już dzisiaj. W każdym razie postanowił podzielić się ze mną ciekawostkami z życia tej niezwykłej postaci. Porozmawialiśmy, a potem postanowiłem skorzystać z faktu, iż mój gość jest człowiekiem zmotoryzowanym i poprosiłem go o podwiezienie do banku. Podjechaliśmy do centrum miasta. Idziemy ulicą, aż tu nagle... przy zabytkowym kościele Klarysek widzę gablotę z wielkim plakatem, na którym widnieje podobizna ojca Pio. Oczywiście zbieg okoliczności. Tylko, że takie przypadki są u mnie na porządku dziennym. A to jest już bardzo zastanawiające.

– Z osobą stryja, o którego narodzinach pan opowiedział, wiąże się jeszcze inna niezwykła historia.

– Tak. To było w czasie II wojny światowej. Los rzucił stryja

– oficera w okolicy Tobruku. Wspominał, że w pewnym okresie żołnierze przez kilka dni siedzieli w okopach i nic się nie działo. Nuda i oczekiwanie. Niespodziewanie u mojego chrzestnego pojawili się podwładni w sprawie jednego z szeregowych. „Panie Piotrze, ten nasz „Mazur” klęczy w okopie i modli się przez cały czas” – zameldowali. Stryj nie widział problemu, nawet wówczas, gdy dowiedział się, że trwa to już od kilku godzin. Kiedy jednak po kolejnych pięciu, żołnierze ponownie przyszli z informacją o modlącym się koledze, postanowił zainteresować się sprawą. Chrzestny podreptał więc do „Mazura”. To było wielkie chłopotisko o ziemistej cerze. Stryj przyklęknął przy nim, pomodlił się, a potem zapytał, co się dzieje. W odpowiedzi usłyszał, że jego podwładny właśnie żegna się z tym światem. „Już nigdy nie zobaczę swoich synów. Jutro zginę!” Cóż można odpowiedzieć człowiekowi, który tak mówi? Stryj spróbował: „Słuchaj tu nic się nie dzieje. Z informacji zwiadu wynika w dodatku, że przez najbliższe dni nic dziać się nie będzie.” „Mazur” trwał jednak na modlitwie. Stryj wrócił do swojej ziemianki i niedługo potem dostał informację, że następnego dnia polskie oddziały będą wycofane na tyły i zastąpione przez Australijczyków. Jako odpowiedzialny dowódca pobiegł więc z tą radosną informacją do żegnającego się z życiem żołnierza. Mężczyzna początkowo nie dowierzał, ale w końcu dał się przekonać, że nic mu nie grozi. Telefon w ziemiance stryja zadzwonił jednak po raz drugi. „Jutro podjeżdżają ciężarówki i zabierają was na tyły, ale wcześniej zrobicie jeszcze wypad na pierwszą linię niemieckich umocnień” – usłyszał i mina mu zrzedła. Następnego dnia skoro świt, najpierw przygotowanie artyleryjskie, a potem żołnierze wyskakują z okopów i suną do przodu biegiem. W czasie ataku żołnierze zaczęli krzyczeć i pokazywać coś swemu dowódcy. Kiedy spojrzał w tamtym kierunku zobaczył „Mazura” idącego wśród gradu kul. Inni poruszali się skokami, przypadali do ziemi, a on szedł wyprostowany jak na defiladzie. Szedł po śmierć. Nie kłaniał się kulom. Stryj rzucił mu się pod nogi, przydusił do ziemi. Potem jednak historia się powtórzyła. Niemieckie okopy zostały zajęte po krótkiej walce. „Mazur”

przeżył, ale znów padł na kolana i zaczął się modlić. Stryj usłyszał od niego: „Jak ja przeżyłem ten dzień, to znaczy, że przeżyję wojnę i jeszcze moich synków zobaczę.” Po południu podjechały zapowiadziane ciężarówki. Rozpoczęło się wycofywanie polskich oddziałów. Żołnierze wsiedli do budy ciężarówki, a „Mazur” jako najsilniejszy, jak zwykle dociskał i zamykał klapę. Zrobił to, podali mu rękę, wskoczył do góry i... w tym momencie dostał postrzał w głowę od niemieckiego snajpera. Przypadek? Jeśli komuś będzie z tym lżej, może tak sądzić. Ja jednak twierdzę, że ten człowiek naprawdę czuł, że zginie. Wiedział to. Ktoś może powiedzieć, że ta opowieść jest mało wiarygodna, bo „sprzedał” mi ją członek mojej rodziny. Opowiem zatem inną historię, którą usłyszałem w Krakowie od ojca znanego polskiego aktora – Jerzego Zelnika. W 1939 roku przebywał on we Lwowie. Rosjanie, jakiś czas po wkroczeniu, zapakowali go wraz z innymi Polakami do bydłowych wagonów i wywieźli w głąb ZSRR. Nie pamiętam już gdzie, ale to były jakieś góry, w których panowała straszliwa zima. Któregoś dnia pociąg stanął, a ludziom – głównie lwowskiej inteligencji kazano wysiąść i maszerować przed siebie. Wszystko to przy potwornym mrozie oraz w gęstej zadymce. Śnieg sypał niemal bez przerwy. W trakcie marszu bardzo wiele osób zmarło. Nikt nie wiedział dokąd idą, ani jak długo potrwa ten śmiertelny, głodowy marsz. W pewnym momencie ojciec Jerzego Zelnika zrozumiał, że już nie da rady iść dalej. Walczył jeszcze, ale w końcu, tak jak wiele osób wcześniej, osunął się na śnieg. Nie miał już siły. Przyjaciele próbowali mu pomóc, ale sami byli zbyt słabi. Poprosił ich, żeby go zostawili. Leżał z twarzą w śniegu i czuł jak uchodzi z niego życie. Zamarzał. Wiedział, że umiera. Czuł jak sztywnieje mu twarz i ogarnia go zdradliwa senność. Nagle usłyszał za głową coś dziwnego! Poprzez odgłos wyjącego wiatru przebił się głośny furkot. Resztką sił odwrócił głowę. Zobaczył kamień i kawałek papieru, który się na nim zatrzymał. Wiedziony jakąś naprawdę tajemną siłą, bohater tej opowieści, zdołał wyciągnąć rękę i sięgnąć po ów papierek. Okazało się, że jest to fotografia. Odwrócił ją. Zobaczył twarz swojego najbliższego przyjaciela, z którym

spędził dzieciństwo, czasy szkolne i licealne. On również musiał przybyć w to miejsce jakimś wcześniejszym transportem. Ojciec Jerzego Zelnika poczuł niespodziewany przypływ sił. Czuł, że bardzo chce odnaleźć przyjaciela. Jakimś nadludzkim wysiłkiem wstał, a potem dogonił swoją kolumnę. Okazało się, że do celu, którym była jakaś zagubiona wioseczka, brakowało jeszcze kilka kilometrów. Przeżył! Potem wrócił do Polski. Nigdy nie znalazł jednak przyjaciela. Kamień w wodę. Jest jednak bezsporne, że owo zdjęcie furkoczące na wietrze ocaliło mu życie. Mówiąc nieco żartobliwie... Bez tego zdjęcia ekranizacja „Faraona” wyglądałaby zupełnie inaczej. Nie byłoby przecież wielkiego polskiego aktora. Spora część rzeczywistości byłaby inna. Może lepsza, może gorsza... Nie wiadomo. Chyba jednak gorsza, skoro jakaś siła postanowiła odmienić los i uratować zamarzającego człowieka! Znowu można powiedzieć: to był przypadek. Mówiąc szczerze, to ja coraz częściej zaczynam postrzegać przypadek, jako rodzaj wirtualnego konfesjonału, do którego niektórzy ludzie idą się wyspowiadać. Wyspowiadać z grzechów... z tym że nie są to grzechy niewiary, ale właśnie wiary w niektóre niezwykle wydarzenia. To właśnie przypadek daje większości ludzi swoiste rozgrzeszenie. Przypadek, a zatem nic niezwykłego! Znowu mogą czuć się wolni od wątpliwości i szczęśliwi. Świat nie jest wówczas miejscem tajemniczym oraz niepewnym. Wszystko można zważyć i zmierzyć. Moim zdaniem to totalna bzdura, ale niektórym ludziom żyje się z takim poczuciem znacznie łatwiej. Też bywam sceptykiem, ale kiedy rozmawiam z „prawdziwymi” sceptykami, to zawsze nasuwa mi się cytaty z Pisma Świętego „Ojcze, przebac im, bo nie wiedzą co czynią”.

– Duch a materia. W złotym okresie science-fiction pisarze nie zajmowali się przeważnie takimi problemami... Uznawali że materia jest najważniejsza. Dzisiaj jest już inaczej. Duch i zjawiska paranormalne stały się w literaturze SF codziennością. Jak jest u Pana?

– Duch? Nie wiem czym jest dusza, ale... Czasami zastanawiam

się, czy kiedy piszę, to pomysły, które rodzą się w mojej głowie, są tak naprawdę moje? Bywa, że mam nieprzeparte odczucie... takie graniczące z pewnością wrażenie, iż to co wklepuję na ekran komputera nie pochodzi z mojej głowy. Jakby ktoś dyktował mi pewne frazy, pewne pomysły. Często miewam również barwne, niesamowicie plastyczne i realistyczne sny. W tym miejscu historia, która wydarzyła się całkiem niedawno. Z języków obcych znam nieco rosyjski i całkiem nieźle rozumiem angielskie komunikaty windowsa. Noo... dobrze docierają do mnie również proste zdania po angielsku, zarówno w mowie, jak i w piśmie. Otóż pewnej nocy przyśniła mi się miejscowość w Bretanii, a więc w regionie Francji, który charakteryzuje się dużą odrębnością kulturową. Znalazłem się w miasteczku z pomniczkami i czymś w rodzaju fontanny... Przeniosłem się kilkaset lat wstecz. Sądząc po ubraniach, to mógł być... siedemnasty wiek. Oczywiście wszyscy rozmawiali ze sobą w jednym z miejscowych dialektów. A ja rozumiałem! Nie tylko. Bez problemu posługiwałem się również miejscową mową. Czegoż jednak nie potrafimy zrobić we śnie? – powie ktoś sceptyczny. No, tak. Ale zupełnie niewiadomo skąd w mojej głowie pojawiły się fakty dotyczące tej miejsciny. Fakty, o których nigdy w życiu nie słyszałem. A jednak wiedziałem zadziwiająco dużo o mieszkańcach, budynkach, historii... Dobrze! Przyśniło się, to się przyśniło. Ale jakież było moje zdziwienie, kiedy rano zasiadłem do Internetu i zacząłem sprawdzać wiadomości, które „spłynęły na mnie” nocą. Najpierw znalazłem ową miejscowość. Później dotarło do mnie, że zdobyte we śnie wiadomości o dziejach, geografii... były prawdziwe! Wszystko się zgadzało. Ale, co ja mam wspólnego z jakąś miejsciną we Francji? Nic! Skoro nie mam z nią żadnych związków, to skąd, do cholery, wzięła się moja wiedza? Reinkarnacja? Niewykluczone. A może telepatia? Może popełniamy błąd sądząc, że zjawisko to dzieje się tylko tu i teraz, pomiędzy ludźmi żyjącymi. Telepatia może przecież równie dobrze łączyć przeszłość z przyszłością. Kto wie, czy nie trafił do mnie przekaz przesłany, świadomie lub nie, wiele wieków temu? Dlaczego sceptycy uznają, że zupełnie normalne i naturalne jest przenoszenie informacji przez geny?

Przenoszenie przez ocean dziejów. Natomiast nawet nie dopuszczają myśli, że to samo może dziać się z czystą informacją. A propos duchów i przekazów z tamtej strony. Przed wielu laty wydarzyło się w moim życiu coś, co jedni, po raz kolejny uznają za zwykły przypadek, a inni za dowód kontaktu ze światem astralnym. Były Zaduszki. Wybrałem się z moją narzeczoną (inną niż ta z opowieści o obrączce) na cmentarz. Chcieliśmy odszukać grób jej babci. Zadanie wydawało się bardzo proste, gdyż zmarła przed laty kobieta miała bardzo charakterystyczne, krótkie nazwisko. Był już późny, jesienny wieczór. Na rozświetlonej mrugającymi lampkami nekropolii nie było już nikogo. Przepraszam... tuż przy bramie stał fotograf i z aparatu na statywie wykonywał zdjęcia magicznej scenerii cmentarza. Wędrowaliśmy alejkami bardzo długo trzymając się za ręce. Wiadomo! Zakochani! Poszukiwania okazały się jednak bezowocne. Może dlatego, że trochę za bardzo zajmowaliśmy się sobą? Niewykluczone. Po pewnym czasie znaleźliśmy bardzo wygodną ławeczkę otoczoną tujami. Usiedliśmy. Duchy przodków, duchami przodków... A my młodzi... Jak to się mówi – lgnęliśmy do siebie. Oczywiście czasy były inne, a my nie byliśmy tak wyzwoleni, jak współcześni polscy celebryci. Pocałunek był jednak czuły i namiętny. Jednocześnie przyszło zawahanie. Może nie wypada? Może cmentarz to nienajlepsze miejsce? Odsunęliśmy się od siebie. Dziewczyna odwróciła głowę i... „Wiktor, tu jest grób mojej babci” – usłyszałem po chwili. Był dosłownie naprzeciwko. Objąłem narzeczoną i powiedziałem chytrze: „Wiesz, skoro babcia nas tu przyciągnęła, to na pewno jest bardzo szczęśliwa. Cieszy się z naszej miłości.” Ledwo skończyłem to mówić, rozległ się strzał, jak z armaty. Duży szklany znicz, który stał na grobie, dosłownie rozbryzgnął się na kawałeczki. Wosk rozlał się na płytę tworząc coś w rodzaju gwiazdy. Wykazałem się nie lada refleksem i powiedziałem: „Widzisz, babcia potwierdza moje słowa.” Zakochany facet potrafi być niesłychanie kreatywny, bo przecież mogło być dokładnie odwrotnie. Czy tam na cmentarzu wydarzyło się naprawdę coś niezwykłego, czy znowu należy odwołać się do pojęcia przypadku? Nie znam odpowiedzi, ale chyba powoli staje

się jasne, że w moim życiu owych przypadków jest tak dużo, że to nie może być... przypadek. Czy zmarli kontaktują się z nami? Nie wiem! Nie mam pewności. Ale tylu ludzi, których znam, odczuwa czyjąś obecność, wsparcie, dobre uczucia. Więc może nasi zmarli patrzą na nas. Wspierają. Pomagają. Co my możemy na ten temat powiedzieć? Miał rację wieszcz mówiąc o „wierze i czuciu” oraz przeciwstawiając je „szkiełku i oku”. Jeśli ktoś interesując się duchami spodziewa się widowiska w stylu Hollywoodu, to niemal zawsze będzie zawiedziony. Przeważnie nie ma fajerwerków, błysków i materializacji. Jest natomiast subtelne, niemal nieuchwytnie odczucie czyjejs obecności. I dobrze, że tak jest.

– Dziękuję za rozmowę.

Z Wiktorem Żwikiewiczem rozmawiał Marek Żelkowski

Zdjęcie: Marek Żelkowski

Źródło: [Infra](#)